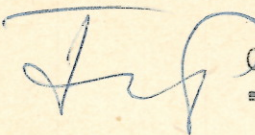


3
Data: 14¹⁶ Lipca 1969 r.
Godz. 16.10 - 16.20

 O P A S Ł E K S I Ę G I
=====

Nauczyciele truchleją. Rodzice współczują. Zaś najbardziej zainteresowani - to znaczy uczniowie - traktują całą sprawę z niefrasobliwym spokojem. Wiadomo, nowe podręczniki szkolne, nieskalane jeszcze trudem nauki budzą tylko ciekawość i radość posiadania, a poza tym są wakacje. Młodzi ludzie nie znają uczucia martwienia się na zapas. Ten przywilej pozostawiają dorosłym .

Tymczasem istnieje powód do niejakich refleksji nad podręcznikami szkolnymi. Tak się szczęśliwie w tym roku składa, że Państwowe Wydawnictwa Szkolne wyprzedziły ze swoją produkcją początek nowego roku szkolnego. Już w lipcu księgarnie oferowały pokaźne ilości podręczników. Dla niektórych klas istnieją w sprzedaży już pełne komplety książek. O ile ten fakt cieszy ogromnie, o tyle pewien niepokój musi budzić opasłość książek szkolnych. Dla przykładu - podręczniki dla liceów ogólnokształcących i techników zawodowych swą obszernością przypominają podręczniki uniwersyteckie. Mam przed sobą komplet książek dla pierwszej klasy liceum ogólnokształcącego. Podsumowałam skrupulatnie strony wszystkich podręczników. Wypada tego ni mniej, ni więcej, tylko około 4 tysięcy stron zadrukowanych

5

różnymi treściami przeznaczonymi do przyswojenia dla uczniowskiej głowy. Jeśli przyjąć, że przeciętnie rok szkolny liczy około 200 dni nauki, bo reszta dni w roku kalendarzowym przypada na wakacje, święta, przerwy międzysemestralne itp. - to łatwo wyliczyć, że każdego dnia uczeń tejże pierwszej klasy liceum ogólnokształcącego winien przerobić 20 stron tekstu. Nielepiej jest w technikach zawodowych, tam podręczniki są jeszcze bardziej opasłe.

Dodajmy do tego, że uczniowie szkół średnich mają także dodatkowe obowiązki w postaci czytania lektury, śledzenia w prasie bieżących wydarzeń politycznych, pracę społeczną w organizacjach młodzieżowych. Nie bez racji specjaliści różnych dyscyplin naukowych, z medycyną ~~szkolną~~ włącznie - twierdzą, że "zawód" ucznia jest jednym z najcięższych zawodów w Polsce. To brzmi może jak paradoks - bowiem, posługując się prawdami obiegowymi, zwykliśmy uważać, że młodzież przede wszystkim się bawi, a potem trochę uczy.

Dyskusja nad podręcznikami szkolnymi - trwa nie od dziś, ale jakoś nie może wyjść ze sfery teoretycznych rozważań. Najbardziej rozżaleni z tego powodu są ci, którzy realizują program szkolny, a więc nauczyciele. Na wszystkich spotkaniach środowiskowych, nie wyłączając przedwyborczych spotkań poselskich, podnoszona była

kwestia podręczników. Nauczyciele nie bez racji twierdzą, że nadmierna obszerność podręczników sprawia, iż nauczyciel nie może zmieścić się z programem w przyznanym sobie limicie lekcyjnym. Trudno bowiem sobie wyobrazić, aby dla przykładu - historyk, mający w ciągu całego roku szkolnego do dyspozycji kilkadziesiąt lekcji zdołał gruntownie przerobić podręcznik liczący bez mała 600 stron. A taki właśnie opasły tom przewidziano dla I klasy liceum ogólnokształcącego. W nie lepszej sytuacji jest matematyk. Dwa podręczniki - do algebry i geometrii liczą w sumie stron 650. Co gorsza - mimo długotrwałych dyskusji na temat przeładowania programów szkolnych, w których wszyscy zabierający głos - zarówno praktycy, jak i specjaliści od programowania - są zadziwiająco jednomyślni - każdy nowy podręcznik schodzący z maszyn drukarskich Państwowych Wydawnictwa Szkolnych jest coraz bardziej opasły.

Indagowany w tej sprawie na przedwyborczym spotkaniu u nauczycieli bydgoskich, minister oświaty i szkolnictwa wyższego - profesor doktor Henryk Jabłoński zdradził wreszcie sekret tego szczególnego ewenementu. Okazuje się, że Ministerstwo ma duże kłopoty ze znalezieniem autorów, jeśli chodzi o podręczniki szkolne. Jak z tego widać - Falscy nie rodzą się na kamieniu.

Poważni autorzy, o aspiracjach naukowych, uciekają od tego rodzaju publikacji. Sztuka napisania dobrego podręcznika nie jest rzeczą łatwą. Natomiast splendor naukowy - żaden. Co innego, podręcznik uniwersytecki. Jak zwykle, w takich przypadkach jedynym momentem kuszącym może być znana już starożytnym zachęta - a mianowicie - pecunia.

Autorzy podręczników szkolnych podobnie, jak wszyscy inni drukujący swe dzieła, pobierają wynagrodzenie - wulgaryzując nieco - mierzone od metra. To znaczy wprost proporcjonalne do ilości arkuszy autorskich. Im grubszy podręcznik, tym więcej pieniędzy. Sytuacja na rynku wydawniczym podręczników szkolnych przypomina nieco praktyki niektórych fabryk metalowych, które również bardzo niechętnie podejmowały produkcję precyzyjnych, lecz niewielkich asortymentów, ponieważ realizację planu obliczano w tonażu. Fabryka więc, podejmując się produkcji nowoczesnej, automatycznie traciła na swych nowatorskich zabiegach. Zdaje się, że przemysł poszedł już po rozum do głowy i uporał się z tym zagadnieniem. Resort oświaty zresztą również zapowiada zmiany. Sprowadzać się one będą do tego, że autorzy podręczników wynagradzani będą za dzieło - niezależnie od tego, jak ono będzie obszerne. Należy wiązać z tym dzieje na dietę cud -

jeśli chodzi o opasłość niektórych książek szkolnych.

Ministerstwo Oświaty, które wykazuje dużą ruchliwość w poszukiwaniu nowych, doskonalszych form nauczania, zapowiada dalszą innowację, jeśli chodzi o podręczniki. Planuje mianowicie stworzenie sojuszników dla nauczycieli w ich dialogach z klasowymi geniuszami. Jest tajemnicą poliszynela, że nauczyciele szanują, wyróżniają i podziwiają tak zwanych klasowych "geniuszy" - czyli wybitnie uzdolnionych uczniów, ale nie obdarzają ich zbyt gorącą sympatią. Przysparzają oni bowiem, zwłaszcza młodym nauczycielom, sporo kłopotu, by nie rzec, że wprawiają ich niekiedy w stan zakłopotania. Taki "geniusz" inteligentny, a więc zazwyczaj i dowcipny, lubi wypróbowywać siły swego wychowawcy. Bywa czytany. Niekiedy jego wiadomości wykraczają poza wiedzę podręcznikową. Zdarzają się więc na lekcjach intelektualne spięcia, z których nie zawsze osoba, która zwyciężać powinna, wychodzi z nich obronną ręką.

Do tej pory bowiem i uczeń i nauczyciel posługują się tym samym podręcznikiem. Jeśli nauczyciel chce bezwzględnie górować także nad swymi najinteligentniejszymi wychowankami - musi do każdej lekcji gromadzić lekturę pomocniczą, nie zawsze znajdującą się pod ręką w wystarczającej ilości.

Zważywszy jeszcze, że nauczyciele są ludźmi ciężko pracującymi, obarczonymi poza pracą zawodową licznymi obowiązkami społecznymi, gromadzenie i wertowanie dodatkowej lektury stanowi dodatkowe, poważne obciążenie.

W szkołach angielskich, dla przykładu, stosuje się dwa typy podręczników: jeden typ - dla ucznia, drugi dla nauczyciela. Ten uczniowski - zawiera treści w ~~konie~~ skondensowanej formie. Jest podręcznikiem, o jakim marzymy dla naszych szkół. Podręcznik dla nauczyciela jest obszerny, dostosowany do jego poziomu percepcji, dający mu możliwość selektywnego traktowania treści. Daje to dużą przewagę nauczycielowi, a jednocześnie szansę elastycznego traktowania programu. Stanowi również duże ułatwienie dla nauczyciela przygotowującego lekcję. Ministerstwo Oświaty - nie kopiując oczywiście wzorów angielskich, zamierza w najbliższych latach skorzystać z doświadczeń pedagogiki światowej. Myśli się więc również o dwoistości podręczników szkolnych. Każda jednak reorganizacja w szkolnictwie pochłania ogromne sumy. Stąd także ta irytująca zainteresowanych przyciężkawość działania skomplikowanej maszyny wydawniczej.

Rzecz^ą najważniejszą przeto, jeśli chodzi o uzdrowienie sytuacji jest jak najszybsze zaordynowanie "diety-cud" autorom podręczników szkolnych.

Jest to jeden z postulatów wyborczych, jaki wpisali bydgoscy nauczyciele swemu posłowi i ministrowi. I s^ądzę, że nie byli w tym życzeniu odosobnieni. Podpisuje się pod nim jedna trzecia obywateli polskich - bo tylu - jak mówią statystycy - mamy uczniów w naszym kraju.